

Już od ponad miesiąca we Lwowie władze radzieckie obejmują rządy. Pamięta się jeszcze jak samochody ciężarowe wywoziły z Cytadeli, z koszarów 19 pułku piechoty ciała polskich oficerów w mundurach, z medalami którzy w jakimś amoku popełniali zbiorowo samobójstwa. Opowiada się o różnych egzekucjach dyrektorów, oficerów. Przez miasto nadal przewalają się rzesze uciekinierów, z których jedni podążają przez góry na Węgry, drudzy wracają do General Government. Z początku w biurze przy ulicy Grochowskiej rejestrowano przybyszów z za Sanu i tym udało się przyjść przez most na drugą stronę, ale rychło zamknięto granicę i spisy wykorzystano do wysyłki ludzi w głąb Rosji. Kawiarnie jednak były pełne, a do fasonu należało nosić oficerskie buty. Rosjanie obejmowali urzędy, jednak nie często przyjmowano do pracy Polaków, pierwszeństwo mieli Ukraińcy i Żydzi. Tylko na Politechnice została pewna oaza polskości. Rektorat posiadał jeszcze formularze dyplomów i polskie pieczęcie i wydawał pośpiesznie dyplomy zapóźnionym studentom.

Od kolegów na Politechnice dowiedziałem się że władze radzieckie przystępują do budowy drogi ze Lwowa przez Jaryczów, Brody do Równego, gdzie przyłączy się <sup>CHU</sup> do traktu kijowskiego. Prace prowadzi NKWD, Narodny Komisariat Wnutyinych Dzieł. Dla nas ta nazwa kojarzy się z inną funkcją tej instytucji, co było połowiczną prawdą, gdyż wówczas w jego gestii leżała również administracja i prowadzenie wielkich budów. We Lwowie brak było odpowiedniej komórki i trzeba było jechać do Jaryczowa, odległego o 24 km. Nie było tam linii kolejowej, a autobusy dawno już nie jeździły. Pojechałem na rowerze. Jaryczów był małą miejsciną liczącą około 2800 mieszkańców, prawie wyłącznie Żydów. Po drodze widziałem zniszczone bramy powitalne z napisami w rodzaju "Haj żywe Ukraina" i zdobne w barwy nie-

biecko żółte. Dwór był zdewastowany i zajęty przez jednostkę NKWD. We dworze zastałem jakiegoś "starszynę", bo tak się wówczas nazywali oficerowie. Po krótkiej rozmowie kazał mi przyjechać nastajutrz. Po powtórnym przyjeździe zawiósł mnie do odległego o 20 km pałacu ordynacji Dzieduszyckich w Nieszuchowie. Pałac, razem z oranżerią i kaplicą był całkowicie obrabowany przez chłopów. Kazało mi przy pomocy wiejskiej milicji, przygotować wnętrza dla przyjęcia polskich "wojennoplennych" którzy w ilości kilkuset mają przyjść w dniu następnym. Milicja sprowadziła chłopów, ci wymościли pokoje skomą, na podwórzu wykopane obszerne, otwarte latryny, przygotowano dworską kuchnię, a w ocalałej oficynie przebyłem noc. Na drugi dzień w długiej kolumnie, otoczeni przez uzbrojonych enkawudzystów i psów, przybyli "wojennoplenni". Byli to polscy żołnierze i podoficerowie z różnych formacji. Prezentowali się dość dobrze, mieli chlebaki, torby a w nich resztki swego wyposażenia. Gorzej było z rodzajem ubrań, niektórzy mieli pełne mundury, nawet i płaszcze, ale wielu było tylko w drelach. Prowadzono pod rękę też kilkunastu chorych, jak okazało chorvch na tyfus i na czerwonkę.

Zetknięcie się z jeńcami polskimi było dla mnie wielkim zaskoczeniem - przecież myśmy nie walczyli z armią radziecką, skąd więc jeńcy. Z rozmów, do których zresztą się nie kwapili, gdyż moja funkcja nie budziła zaufania a które z czasem uzyskałem, okazało się że byli to żołnierze ujęcie do niewoli w czasie walki jak i dobrowolnie przechodzący na stronę radziecką uważając że idą do sojuszników, a także wyłowionych z tłumu. Zwieziono ich do Starobielska, Ostaszkowa i Kozielska, gdzie oddzielono oficerów, policjantów i sędziów i <sup>następnie</sup> przewieziono do kopalń w zagłębiu Donieckim. Zatrudniono ich przymusowo

✓  
(stoją znanego  
muzykologa  
z Wrocławia)

do pracy pod ziemią. Ponieważ każdego dnia było wiele wypadków śmiertelnych, żołnierze burzuyli się i żądali odesłania do domów. Około 40 000 ludzi przewieziono na budowę drogi Lwów-Równe, a 30 000 do budowy dróg na Wileńszczyzn<sup>ie</sup>. W owym czasie nie mogłem prowadzić żadnych notatek ani być zana<sup>ie</sup>do dociekliwym. toteż niniejsze karty są tylko wspomni<sup>eniem</sup> i sygnałem dla historyków. ~~aby zajęli się i tą białą plamą.~~

Z Niesłuchowa nietrudno było uciec i rozsądniejsi, a wśród nich oficerowie ukrywający się jako szeregowcy uciekali w nocy. Wkrótce jeńców podzielono na grupy i poprowadzono ich do obozów, zwykle w dawnych zabudowaniach dworskich. Na bramie wejściowej był napis "Łagier wojennoplennych". Obozy były otoczone wysokimi płotami z drutu kolczastego i stale dozоровane przez wartowników z psami. Ucieczka z obozu była prawie niemożliwa.

Trasa była podzielona na "Uczastki" liczące po około 20 km i posiadające własną administrację. Personel techniczny składał się z Rosjan którzy przyjechali tu służbowo i tak zwanych "wolnonajemnych" składający się z miejscowych Ukraińców, Żydów, nielicznych Polaków oraz z obcokrajowców, więźniów obozów niemieckich. Ci ostatni byli przez Niemców podwożeni pociągami w okolice Sambora i pod groźbą zastrzelenia pędzeni w stronę granicy radzieckiej. Tak na przykład w mojej grupie znajdował się dwaj bracia Rudolph, więźniowie z Dachau, były adjutant Dolfusa Ginsberg, syndykalista z Gdańska Osiński i Ukraińiec więzień Berezy. Uczastek był podzielony na trzykilometrowe "prorabstwa". Każde prorabstwo miało do dyspozycji dwa do trzech łagrów oczywiście zarządzanych przez wojska NKWD.

Zima 1939/40 była bardzo surowa i prace ograniczały się

do wyładunku z pociągów materiałów do budowy dróg i z robót przygotowawczych. Początkowo pracowano w systemie dekadowym i po 10 godzin dziennie, po kilku miesiącach powrócono do systemu tygodniowego i ośmiu godzin pracy. Na poszczególne miejsca pracy były kierowane kilkudziesięciosobowe grupy jeńców pod strażą kilku "karauków", zawsze pochodzenia azjatyckiego, nieumiejących po rosyjsku. Tylko podoficerowie i oficerowie byli Rosjanami. Straż była uzbrojona w pepeszy, czasem i w ekm, oraz posiadała psy.

Do obowiązku technicznego nadzoru należało sporządzanie każdego dnia i dla każdego jeńca "nariadu" w którym podawało się procent wykonania normy. Normy te pod względem merytorycznym były świetnie opracowane, ale założona wydajność pracy była całkowicie nierealna. Niestety z tymi nariadami i normami wiązało się możliwość przeżycia. Jeńcy otrzymywali na śniadanie kawę zbożową i jeden bochenek chleba na dwudziestu <sup>a</sup> wieczorem braję z mąki owsianej lub z rzepy. Obiad, czyli tak zwaną "preabludę" mogli dostać tylko ci którzy wykonali w poprzednim dniu ponad 110 % normy. Ten obiad był przywożony na miejsce pracy i stacowiła go beczka w której były zagotowane różne odpady, zgniła kapusta, zepsute ziemniaki, wnętrza końskie, głowy i tp. Faktyczny przerób jeńców nie przekraczał 15 % normy, a zawyżanie nariadów było stale zagrożone wysyłką w głąb Rosji. Trzeba było <sup>wymyślać</sup> najdziwniejsze roboty i stosować oczywiście fałszowanie nariadów aby wszyscy mogli dostać obiad. Brak jego przez kilka dni oznaczał śmierć. Dodatkowy kłopot sprawiali ludzie chorzy, przyprowadzano ich na budowę i kładzino pod barakiem. Kiedy upominałem się o pozostawienie ich w obozie czy w szpitalu, "medsestra" objaśniła mi że norma przeżywa tylko 3 % "bolnych" a reszta musi być zdrowa. Na-

toniast za chorego mógł być uznany tylko wykazujący gorączkę powyżej 38 °C. Możliwości leczenia były raczej skromne, gdyż poza termometrem medsestra posiadała tylko aspirynę.

Sprawa stosowania norm rozwiązała się w dość niespodziewany sposób. Pewnego dnia przyjechał na budowę jakiś wyższy oficer z Moskwy i po skontrolowaniu mego odcinka zapytał ile normy wykonują jeńcy. Odpowiedziałem nieśmiało że 112 do 115 %. Popatrzył na mnie surowo i warknął "Darak, piszi sto piedzisiat". Budowy obsługiwane były przez kolumny transportowe. Nasza kolumna składała się z 50 samochodów, z których kilka było na chodzie. Obsługa techniczna była raczej skromna. Kierowca jako narzędzia używał dźwuta i młotka do odkręcania wszystkich śrub, kawałka drutu i skrawków dętki we flaszcze z benzyną. Na części zamienne były na bazie rozbierane kolejne samochody. Otóż w gazetce budowy "Dorożniku" ukazał się artykuł o "soczmacheniu" czyli współzawodnictwie kolumn samochodowych, gdzie nasza kolumna, mająca aktualnie trzy samochody na chodzie zajęła pierwsze miejsce. Te dwa przypadki nauczyły mnie wiele ze socjologii pracy. Wracając do transportu, rozwiązano go całkiem zwyciężająco, zmuszono chłopów do nieustającego szarwarku, który miał być ukoronowany przez otrzymanie autostrady. ✓

Nastąpiła wiosna 1940 r. Na drogach pokazały się eleganckie niemieckie limuzyny z niemieckimi oficerami, mieli oni poszukiwać grobów niemieckich żołnierzy z obu wojen. Prawie równocześnie zaczęto w obozach spisywać Volksdeutsche. Zaraz potem przyjechały piękne autobusy i samochody ciężarowe z odzieżą, papierosami i jedzeniem. Spisani odjechali do Niemiec, a w obozie zaczęli się zgłaszać następni Volksdeutsche. Spisano ich i przyjechały, tam także samochody ciężarowe NKWD i wywieziono ich na wschód, ślad po nich zaginął. Było też i inne ciekawe

Jednej nocy kiedy kwaterowałem u chłopca we wsi Zapytowie, zbudziły mnie krzyki, lamenty i strzały. Kiedy wyszedłem z domu, zobaczyłem jak z niektórych chat wyprowadzają ludzi z różnym dobytkiem, wynoszą chorych i starych. Dokoła uwijali się żołnierze NKWD, ale i rosyjscy pracownicy z budowy uzbrojeni w karabiny. Była to pierwsza wywózka. Wywieziono leśników i gajowych z rodzinami, bo mogli znać miejsca gdzie wojsko zakopano broń, wszystkich członków byłych władz polskich, wójtów, sołtysów, członków ukraińskich organizacji, rezerwistów polskich i byłych żołnierzy Petlury no i kulaków. Na stacji w Zapytowie stał pociąg złożony z towarowych wagonów z zadrukowanymi oknami. Słychać było wołanie i płacz ale nikogo nie dopuszczano do wagonów. Po trzech dniach pociąg odjechał, a na placu pozostało kilka trupów zamrzniętych dzieci.

Po niedługim czasie zaczęły przychodzić listy od wywiezionych do Maryjskiej Obłóści. Listy składały się ze złożonych w trójkąt skrawków gazety, na którym między wierszami i na marginesach był wypisany tekst, a złożone części sklezione znaczkami. Ponieważ odbiorcy byli i analfabeci, pomagałem odczytać. W jednym liście nadawczyni dziękowała Bogu że wzięła ze sobą igłę, dzięki niej i wyprówanym nici z koszyli może szyć i zarabiać na życie.

zdarzenie - do obozu przyjechała grupa innych jeńców polskich, których odrazu rozpoznano jako szpiegów i zidentyfikowano jako dawnych dezertersów z wojska polskiego którzy uciekli do ZSRR. Tam ich ujęto i skierowano do obozów na Syberii.

Nadeszło lato 1940 r. Ludzie byli coraz bardziej wyniszczeni i słabi. Zdołali na jedzenie sprzedać wszystko co jeszcze miało jakąś wartość. Panowała ogólna apatia i niewiara w przyszłość. Byli odcięci od jakichkolwiek wiadomości z zewnątrz. Byłem dla nich jedynym informatorem o sytuacji na świecie i jedynym, zresztą zawodnym łącznikiem gdyż próbowałem przesyłać ich listy do rodzin<sup>a)</sup> (które nie miały żadnych odpowiedzi. Lato stwarzało pewne możliwości ucieczek. Kilka z nich obserwowałem. W czasie prac ziemnych jeńców przykrywał się gałęziami lub budyłami a inni obsypywali go ziemią i tak zostawał do odejścia grupy. Innym razem obserwowałem kiedy drogą przejeżdżały bogate wozy Cyganów wyrzucanych z Niemczech całej Europy przez Niemców. Przed wozami Cyganów rozstępowała się kolumna jeńców a jedno z nich został między parą koni i z nimi spokojnie odszedł poza warty, gdzie szybko został wciągnięty do wozu. Inny jeszcze wszedł do baraku, rozebrał się do bielizny, wziął kosę na ramię i udał chłopca idącego do pola. Fakty te zaalarmowały naczalstwo i aby zapobiec ucieczkom kazano strażom bez przerwy liczyć jeńców. Była to prawdziwa tortura psychiczna i całkowicie bezskuteczna - liczyć stale ruszających się kilkudziesięciu ludzi i to przez osiem godzin, mógł wymyśleć chyba sam djabeł.

Pewnego dnia zwołano zebrania jeńców i personel techniczny<sup>a)</sup> a mówcy wzywali wszystkich do walki z odwiecznym wrogiem słowiańszczyzny, z Niemcami. Mówili że wszyscy dostaną broń do ręki i pójdą na front. Wielu jeńców uwierzyło i wstąpiła

w nich otucha. Rezultatem tego zebrania było przemalowanie napisów nad obczami z "Łagier wojennopleennych" na "Łagier wolnonajeennych" i pozatem nic się nie zmieniło.

Gdy budowałem żelbetowy most pod Jaryczowem, jeńcy zabetonowali w fundament flaszkę zawierającą spis jeńców, orzerki z czapek, guziki i monety, a od spodu płyty żelbetowej wbetonowali z kamyków orła polskiego. Wtedy jeszcze wierzyliśmy że ta droga w każdym razie pozostanie w Polsce.

W czasie budowy mostu zwróciłem uwagę jednemu z inspektorów z Moskwy że otrzymany od nich dokumentacja zawiera bardzo duże przewymiarowania betonu i stali. Odpowiedział mi że oni doskonale o tym wiedzą, ale dokumentacja jest ważna dla całego kraju i że są różni ludzie, ignoranci, złodzieje, pijacy i żeby nie wiem jak bardzo kraśli to jednak zawsze wystarczy by obiekt się nie zawalił. W kilka dni potem przeżyłem to na własnej skórze. Mój most był już zabetonowany i musiał czekać dwa tygodnie na stwardnienie betonu, zagrodziłem wjazd i zrobiłem objezd. W jakiejś sprawie udałem się do kierownictwa i widzę ze wzgórza jak na mój most wjeżdż szybko kolumna czołgów. Coczami wyobraźni widzę jak czołgi walą się do rzeki a mnie za sobotaś prowadzą pod ścianę. Tymczasem most wytrzymał. Jeszcze jedna nowa prawda.

Roboty na odcinku powoli się kończyły. Jednego razu przyjechał uradowany naczelnik i kazał dać mi wykaz wszystkich ukradzionych narzędzi i zniszczonych narzędzi, a gdy spytałem go poco to, odpowiedział że właśnie spalił się magazyn i wpięty wszystko na straty. Ten magazyn to była budka o wymiarze metr na metr w którym był agregat do oświetlenia placu. Innym razem przyjechał stropiony gdyż okazało się że gdy zesunowano wszystkie raporty to wynikło z tego że zbudowano nie trzy ki-



lometry drogi a dwadzieścia trzy. W ten sposób uczyłem się metafizyki budowy i w odrodzonej Polsce niż już nie zdołało mnie zadziwić.

Na trasie położono asfaltową nawierzchnię i ustawiono znaki drogowe, po to by w kilka dni je zlikwidować dla ochrony przed ... spadochronierzami. Jeńców częściowo przeniesiono do budowy trzystu polowych lotnisk wzdłuż granicy, a część przetransportowano do budowy a raczej modernizacji drogi Lwów-Przemysł. Mnie przypadła budowa mostu na rzece Wjar na przedmieściu Przemysła.

Pomijam samą specyfikę budowy na którą nie było dokumentacji a z materiałów tylko deski, a narzędzia skonfiskowano z pobliskiej kuźni. Belki trzeba było wycinać w lesie, materiał na gwoździe, haki i śruby wznajmować ze zbombardowanych budynków żelbetowych w Przemysłu. Interesujące było otoczenie.

O sto metrów od mego mostu był most kolejowy linii Lwów-Przemysł. Ta linia kolejowa bez przerwy szła na zachód długie pociągi z pięćdziesięciotonowymi cysternami ropy, a w drugą stronę pociągi z maszynami. Pociągi jeździły na tak zwane zielone światło, to znaczy że równocześnie między stacjami były trzy składy. Niedaleko żołnierze budowali bunkier. Plac budowy otaczał kilkumetrowy płot z desek i wjazd był ślimakiem. Takich bunkrów zbudowano setki. Na przykład kiedy patrzyłem z jednego takiego bunkra, zniszczonego przez Niemców pod Rawą Ruską, naliczyłem w polu widzenia 23 innych. Bunkry były ze ślicznego betonu o ścianach ponad dwumetrowych, dwukondygnacyjne, ze stalową kopułą obserwacyjną. Miały tylko jedno wejście i nie miały innych połączeń, tak że po wyczerpaniu wody, jedzenia i amunicji musiały się poddać. W okolicznych lasach, ale i na polach gromadziło się coraz więcej broni i wojska. Nocami do lasów prowada-

dzano czołgi i działa. Na polach ćwiczyły oddziały narciarzy w białych kombinezonach z nartami, których więźba składała się z paska przybitego do deski, a kijki zastępowały dwa patyki. Zupełnie niezrozumiałe było z jednej strony gromadzenie wojska, a z drugiej ożywiony handel z Niemcami. Oficjalnie mówi się że Stalin był zaskoczony atakiem niemieckim, ale mnie się wydaje że w każdym razie w sztabie myślano inaczej. Mnie ta sytuacja nie wydała się zachęcająca do pozostania i pewnej nocy poprostu uciekłem. Chętnie się był przewidyującym, bo w dniu wybuchu wojny, o świcie do kwater wszystkich "innostran-  
ców" przyszedł niemiecki i zastrzelili ich na podwórzach, nie im nie pomogło że byli to prawdziwie komuniści i prześladowani przez Niemców, mogli przecież być szpiegami.

Po wojnie tylko jeden z byłych jeńców skomunikował się ze mną i to telefonicznie. Opowiedział mi że po wybuchu wojny pędzono ich przez Brody do Rosji ~~nie~~ się ze mną spotkać ale jakoś przepadł bez śladu.

✓  
o ustających  
w marszu  
strzelanach

Losy tych jeńców, zgrupowanych nie tyle w obozach jenieckich, ale w obozach zagłady, nie mających żadnych kontaktów ze światem, wymagają wyjaśnienia przez historyków. Jest to jeszcze jedna biała plama w smutnej historii polskiego udziału w drugiej wojnie światowej.

Zbigniew Schneigert

Zakopane, 31 października 1988 r.